

EWA THOMPSON

Rice University, Houston, USA

Odpowiedzi na ankietę, w przeciwieństwie do naukowych wypowiedzi, takich jak artykuły czy rozdziały w książce, mogą być brutalne i skrótowe. To przyzwolenie na brutalność i skrótowość jest chyba najbardziej przekonywającym usprawiedliwieniem ankiety. Zgodnie z tą zasadą odpowiadam więc na punkt drugi, w którym mowa jest o periodyzacji, genre'ach i innych tradycyjnych wyznacznikach taksonomii historycznej. Stawiam tezę, że w chwili obecnej należałoby je przenieść na strych, tzn. po prostu zapomnieć o chronologiach i periodyzacjach, które wciąż grają ważną rolę na wydziałach historii polskich uniwersytetów. Wprawdzie nie da się zrozumieć historii bez umiejętności ustawienia wydarzeń na osi czasu, ale w obecnych czasach to ustawianie może i powinno być robione prywatnie, że tak powiem; powinno być jak tabliczka mnożenia, której uczymy się na pamięć i już potem nie wystawiamy na widok publiczny.

Wszyscy wiemy, że historia Polski za granicą (ściślej, w prestiżowych ośrodkach naukowych będących źródłem opinii publicznej) jest gorzej niż nieznana. Jest opowiadana kłamliwie albo pomijana jako nic nieznająca i niegrająca żadnej roli w biegu wydarzeń. Taką opowieść snują tysiące artykułów i setki książek, które należy odkłamać albo unieważnić przez dostarczenie dobrze udokumentowanych argumentów w językach innych niż polski.

W jaki sposób to zrobić? I dlaczego sytuacja jest taka, jaka jest? Na to drugie pytanie łatwo odpowiedzieć. Przez dwa stulecia polskie elity zajmowały się ocalaniem własnej tożsamości raczej niż uczestnictwem w wielkich dysputach historycznych, które toczyły się na zachodzie Europy i w Ameryce. W wielu wypadkach Polacy nawet nie wiedzieli, że takie dyskusje miały miejsce, że historia się „zarmurzała” (zapożyczam się u Norwida) bez nich. Pisane były historie Europy, w których Polska nie pojawiała się nawet w indeksie. Znakomita większość wykształconych Amerykanów nigdy nie słyszała o Rzeczypospolitej Obojga Narodów i o roli, jaką katolicyzm odegrał na wschodzie Europy (i dlaczego był zwalczany). Jednym ze straszliwie trudnych do odrobienia rezultatów

europiejskiego kolonializmu było i jest oddanie narracji historycznej dotyczącej Europy w ręce obywateli krajów, które dokonały rozbiórów Polski. „Przysłużyli się” tutaj zwłaszcza protestanczy historycy niemieccy. Cały wiek XIX był i wciąż jest w ich rękach, bo stworzyli taksonomię, która wciąż jest akceptowana. Według tej taksonomii wystarczy przeczytać jedną lub dwie książki o ludach pomiędzy Niemcami i Rosją, aby zrozumieć całą niegermańską Europę Środkową. Po II wojnie światowej zaczęli w snuciu opowieści uczestniczyć również Rosjanie: anglojęzyczna *Historia Rosji* Nicholasa Riasanowskiego do dziś jest czytana jako źródło podstawowych wiadomości o Europie „Wschodniej”. Kluczowa tu jest taksonomia studiów humanistycznych w Ameryce, faworyzująca studia rosyjskie kosztem tych dotyczących niegermańskiej Europy Środkowej. Do tekstów historyków zawodowych należy dołączyć setki i tysiące wypowiedzi literackich i medialnych, zapadających w podświadomość czytelników i słuchaczy. Symboliczny jest tu pułkownik Claus von Stauffenberg i jego sławny list do rodziny, w którym komentarz o polskich chłopach jako podludziach, których „kark jest stworzony do jarzma”, przekracza w barbarzyństwie nawet opisy Murzynów w tekstach brytyjskich kolonialistów. Do dziś Stauffenberg jest uważany w Niemczech za szlachetnego bohatera. Pikanterii dodaje fakt, że pochodził z katolickiej rodziny.

Dodam tutaj, że instytucja zwana Niemieckim Instytutem Historycznym, której amerykańskie centrum znajduje się w Waszyngtonie, a filie w kilku innych miastach amerykańskich, jest aktywnie zaangażowana w promowanie niemieckiej wersji historii Europy nie tylko w Ameryce, ale i w całym anglojęzycznym świecie. Sponsorem jest państwo niemieckie, a ściślej Max Weber Stiftung: Deutsche Geisteswissenschaftliche Institute im Ausland. Nie przytaczam tu placówek rosyjskich, bo na nie polscy historycy są bardziej uczuleni niż na niemieckie. W Polsce już istnieje tradycja polemiki z rosyjską wersją historii. Tylko że jest to tradycja głównie polskojęzyczna, niewypromowana za granicą, a więc powoli staczająca się w nieprzetłumaczalność. Niemcy zaś po II wojnie światowej zdobywały sobie krok za krokiem reputację państwa „zachodniego”, a więc uczciwego w interpretowaniu historii. Dopiero wycofanie się sowieckich wojsk z Europy Środkowej umożliwiło korekty również w tej dziedzinie.

W tej sytuacji stratą czasu i pieniędzy przeznaczonych na edukację jest produkowanie przez wydziały historii polskich uniwersytetów dziełków, jeżeli nie setek doktorów nauk historycznych, których prace dyplomowe są monojęzyczne i kontynuują tradycję „opisujących rzeczywistość” historyków XIX w. raczej niż tradycję polemik. Takie „opisujące

coś” prace nie zainteresują zagranicznego czytelnika, nawet jeżeli zostaną przetłumaczone na najbardziej popularny język świata, tzn. na angielski. Książki „coś” opisujące i niemające ambicji korygowania czyichś wypowiedzi grawitują w stronę *coffee table books*, czyli książek „do położenia na stoliku do kawy” – jako ozdoba pokoju, coś do przeglądania, gdy się siedzi i czeka na kogoś. Tylko te książki mają szanse zaistnienia, które koncentrują się na jakimś problemie raczej niż na okresie historycznym. Oczywiście są wyjątki, ale trzeba być naprawdę doświadczonym historykiem, aby odnieść sukces np. w opisywaniu wojny domowej w USA w latach sześćdziesiątych XIX w. Została ona już przez tak wielu opisana, że tylko wyłowienie jakiegoś jej aspektu, dotychczas niedocenianego, ma szanse na obudzenie ciekawości czytelnika.

Tak więc *The Ascent of Money* (2008; wyd. pol. *Potęga pieniądza. Finansowa historia świata*, 2010) popularnego szkockiego historyka Nialla Fergusona czy jego wspaniała *Civilization: The West and the Rest* (2011; wyd. pol. *Cywilizacja. Zachód i reszta świata*, 2013) są przykładami książek, które zerwały z tradycją kronikarską, na które istnieje światowy popyt i które powinny być pisane również przez polskich historyków. Tu się nieco zagalopowałam, bo oczywiście takie książki wymagają przejścia wcześniejszej fazy (o której poniżej), nie mogą być skomponowane jako dysertacje doktorskie. Ale jeżeli ktoś podąża w kierunku kronikarstwa w czasie studiów, szanse na nauczenie się pisania polemicznego ma niewielkie.

Proponowałabym więc następujące radykalne rozwiązanie. Na pewien okres – powiedzmy jednej dekady – wszystkie albo prawie wszystkie wydziały historii na polskich uniwersytetach zmieniają format i wymagania dotyczące doktoratu z historii. Zamiast tradycyjnej pracy doktorskiej czy habilitacyjnej aspirant do tytułu doktora napisze odpowiedź na jakąś książkę o polskiej historii lub o historii niegermańskiej Europy Środkowej i wyda ją za granicą w dobrym anglojęzycznym (lub niemieckojęzycznym) wydawnictwie. Można taką odpowiedź napisać w języku polskim, ale doktorant musi tę pracę przetłumaczyć na ten język, w którym została napisana książka czy esej, z którymi polemizuje. I musi okazać się zdolny do polemiki nie w języku polskim, lecz w angielskim. Sprawdzianem mogłoby być inicjowanie paneli na ten temat na zjazdach zawodowych organizacji w Ameryce i Europie (American Historical Association, Association for Slavic, East European, & Eurasian Studies oraz ich odpowiedniki w Europie). Umiejętne posługiwanie się retoryką postkolonialną może takie polemiki ułatwić.

W 2004 r., podróżując po Norwegii, byłam mile zdziwiona zdolnością Norwegów do podejmowania rozmowy w języku angielskim. Wydawałoby się, że w słabo zaludnionych zakątkach tego kraju nie było potrzeby

uciekania się do dwujęzyczności — a jednak mądrzy Norwegowie uznali, że wszystkie dzieci należy uczyć angielskiego już od przedszkola. Tak więc Norwegowie wszędzie mogą czuć się swobodnie, bo znają język, którym mówi praktycznie cała wykształcona ludzkość. Turyści zaś w Norwegii też nie czują się obco, bo mogą zawsze i wszędzie porozumieć się z „tubylcami”. Na tego rodzaju rozwiązanie na razie Polski nie stać, ale dwa semestry na anglojęzycznym uniwersytecie powinny być *sine qua non* dla doktorantów i habilitantów w dziedzinie polskiej historii.

Spójrzmy np. na książkę Briana Portera-Szűcsa *When Nationalism Began to Hate (Gdy nacjonalizm zaczął nienawidzić)*, wydaną w roku 2000 przez Oxford University Press. Ten znakomicie skonstruowany paszkwil uważany jest przez amerykańskich slawistów (którzy są źródłem informacji dla polityków, dziennikarzy, autorów podręczników) za kluczowe dzieło dotyczące historii Polski w XX w. Zapewnił on autorowi *endowed chair* polskiej historii (imienna katedra, uważana za bardziej prestiżową niż zwykły tytuł profesora) na uniwersytecie stanu Michigan. To, że żaden polski historyk nie napisał anglojęzycznej książki-odpowiedzi na ten przepojony duchem pogardy do Polski tekst uważam za jedną z najważniejszych przegranych bitew w wojnie o historię Polski w wieku XXI. Oczywiście niektóre polskie publikacje zamieściły krytyczne recenzje, ale równają się one pisaniu do szuflady, bo mało kto poza granicami Polski zwrócił na nie uwagę. Rozrzucone zaś po różnych artykułach i książkach kąśliwe uwagi o tej i innych książkach Portera-Szűcsa ważą mniej niż nic, a takie właśnie podejście charakteryzuje niektórych konserwatywnych polskich historyków.

Po iluś tam latach takich praktyk, gdy spora liczba zagranicznych tekstów będzie już przez polskich doktorantów „przekontestowana”, można będzie wejść na drugie piętro tej rozgrywki: na kontestowanie „zmarmurzonych” już wersji europejskiej historii. Niepisaną przesłanką prawie wszystkich wielkich historii Europy wydanych w wiodących językach europejskich jest wiara, że prawdziwa Europa to imperium Karolingów, że pozostała jej część to peryferie i fałszywki. Wszystkie „zachodnie” koncepcje dotyczące dzisiejszej Europy mają źródło w tym przekonaniu.

W chwili obecnej historia Europy, przekazywana przez uniwersytety i podręczniki szkolne poza Polską, nieomal całkowicie pomija rolę Polski w historii. Polacy są w pełni świadomi tylko małej części tego pomijania, a mianowicie braku wpisania ich roli w walkę z Niemcami w II wojnie światowej. Ale już zwycięstwo pod Wiedniem czy Grunwald, tak walutowane w polskich szkołach, nie istnieją w historiach „karolińskiej” Europy jako wydarzenia, które zmieniły bieg dziejów. Przedsięwzięcie kontestowania wielkich historyków anglojęzycznych i niemieckojęzycznych

to oczywiście sprawa trudna, ale jeżeli nie zostanie ona wyartykułowana jako cel, jakkolwiek daleki, sytuacja nigdy się nie zmieni. Polacy muszą przyzwyczać się do myśli, że interpretacje historii mogą być kontestowane i zacząć w tym kontestowaniu uczestniczyć. Oczywiście wymaga to umiejętności „wejścia w cudze buty”, jak mówi angielskie przysłowie, czyli spojrzenia na sprawy innych narodowości z ich punktu widzenia. Bez inteligentnego odczytania polityki innych krajów nie można marzyć o uczestnictwie Polski w walce o historyczne interpretacje. Polacy są przyzwyczajeni do prymitywnego fałszowania historii, które uprawiali Sowieci i które względnie łatwo skorygować podając dowody historyczne. Zmiana interpretacji nie jest sprawą tak łatwą i wymaga nie tylko wielkiej wiedzy, ale i zrozumienia, na czym zmiana perspektywy polega.

Zbytne przywiązanie do istniejących już taksonomii jest cechą kultur wtórnych, zapożyczonych od kogoś, niesamodzielnych. Kultury żywe same sobie tworzą nowe taksonomie. Trzeba głębokiej wiedzy, aby próbować takie taksonomie wprowadzić do obiegu. Ale bez „wychylania się” i podejmowania ryzykownych kroków, bez pilnego śledzenia tego, jak się pisze o Europie Środkowo-Wschodniej poza jej granicami, trudno będzie cokolwiek zmienić w percepcji Polski za granicą.

Zdaję sobie sprawę, że poprzeczkę umieszczam wysoko, że wymaganie świetnej znajomości języka obcego i umiejętności polemizowania z książkami czy artykułami o Polsce to być może zadanie dla dojrzałego historyka raczej niż dla świeżo upieczonego doktoranta. Ale sytuacja jest taka, że trzeba mierzyć siły na zamiary. Z pewnością można przynajmniej spróbować.